

**A IN HEM**  
STEFAN

# OSTATNI GWÓZDŹ

Przełożyła  
EWA WOJCIECHOWSKA

MARGINESY

*Den sista spiken*

COPYRIGHT © Stefan Ahnhem 2021

Published by agreement with Salomonsson Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Wojciechowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2022

Pamięci Teodora Riska  
25 marca 1996  
31 lipca 2012

## Prolog

**3 sierpnia 2012**

Erica Andersson nigdy nie przepadała za wodą. Prysznic nie stanowił problemu, mogła też poleżeć godzinę w wannie z dobrą książką. Nie w tym rzecz. Nie lubiła wszystkiego, co łączyło się z kąpielą w morzu, rzece czy jeziorze – pluskania się, pływania czy czegokolwiek innego, co robiło się w wodzie, ani nie będąc brudnym, ani nie szukając orzeźwienia.

Nie chodziło o to, że nie umiała pływać, choć nie mogłaby się z czystym sumieniem przechwalać, że jest w tym świetna. Ale w miejscu, w którym się znalazła, musiałaby pokonać ze dwieście metrów, a do tego z pewnością nie była zdolna. Zwłaszcza w zimnej, wzburzonej wodzie, pełnej meduz i oślizgłych ryb.

Mimo to dała się namówić i wcisnęła swoje obfite wdzięki do małego kajaka, tak wąskiego i niestabilnego, że tylko cudem jeszcze się w nim nie wyrzuciła. Jakkolwiek na to spojrzeć, dosłownie siedziała w wodzie. Zimnej i ciemnej, trącej ją falami, napierającej ze wszystkich stron.

Mikkel twierdził, że w kajaku praktycznie zawsze pozostaje się suchym. Spojrzał jej w oczy i zapewnił ze śmiertelną powagą, że co najwyżej zmoczy sobie trochę przedramiona.

Rzecz jasna było to dalekie od prawdy, ale opowiadanie takich rzeczy było typowe dla Mikkela, zwłaszcza wówczas, gdy wbił sobie do głowy jakiś, jego zdaniem, genialny pomysł. Przez cały ostatni miesiąc w kółko mówił tylko o tym, jak wspaniale oglądać wschody słońca, pływając po kopenhaskich kanałach, i czuć, że tworzy się z wodą jedność.

Że tworzy się z wodą jedność. Jezusie...

Ale czegóż nie robi się z miłości. Przesadą byłoby stwierdzenie, że Erica nie mogła się opędzić od zalotników i gdyby miała być całkiem szczerą, musiałaby przyznać, że nie sądziła, iż kiedykolwiek uda jej się zdobyć takiego faceta jak Mikkel. Był nie tylko przystojny, ale zrobił też prawdziwą karierę jako progra-

mista i zarabiał tyle, że większość mogła sobie o takich sumach pomarzyć.

Jedyny minus polegał na tym, że był Duńczykiem i Erica musiała się wyprowadzić z Helsingborga. Choć tak naprawdę nie był to wcale aż taki problem. A już z całą pewnością stanowił o wiele mniejsze zmartwienie niż próba utrzymania w poziomie tego kajaka.

Erica miała wrażenie, że może ją wyrzucić każda, choćby najmniejsza fala, już czuła zakwasy w całym brzuchu, a o rękach i barkach wolała nawet nie myśleć. Bała się, że po przepłynięciu wytyczonej przez Mikkela, jakże ambitnej, trasy, straci w nich czucie i już nigdy nie będzie mogła ich używać.

– Widzisz, jak tu pięknie? – zawołał do niej po duńsku.

Kiwnęła głową. Owszem, widok był piękny. Z tej perspektywy Kopenhaga ukazywała swoje całkiem inne oblicze. Erica nie potrafiła jednak czerpać przyjemności z tego odkrycia. Zwłaszcza po tym, jak zostawili za sobą spokojny i sielski Wilders kanal i wypłynęli na wody portowe, gdzie panował zupełnie inny ruch i pojawiły się zupełnie inne fale.

Nie mogła zrozumieć, po co Mikkel ją zmuszał, by płynęli tak daleko od brzegu. Zapewne chciał wykorzystać okazję, że w końcu się zgodziła, i pokazać jej wszystkie ciekawe miejsca. A może chodziło o coś całkiem innego?

Nie chciała myśleć o tym w ten sposób, ale najwyraźniej nie miała na to żadnego wpływu. Podejrzanie zaświtało w jej głowie, żyło własnym życiem i rozwijało się w najlepsze.

W ostatnim czasie Mikkel był wyjątkowo rozdrażniony i minął prawie cały miesiąc, odkąd ze sobą spali. Początkowo Erica potraktowała to jako chwilowy kryzys, który z pewnością niebawem minie, ale w rzeczywistości niemal z każdym dniem było coraz gorzej. Właśnie minęła połowa ich urlopu i jeszcze nigdy nie było między nimi tak źle.

Może Mikkel się nią znudził? Czy o to właśnie chodziło? Czy dlatego zmusił ją do tej piekielnej wyprawy? Chciał jej zapewnić tyle przykrych wrażeń, żeby to ona z nim zerwała? Czyżby sam nie miał odwagi tego zrobić? Szlag, co za tchórz...

Ich związek wydawał się zbyt piękny, by był prawdziwy, powinna była to zrozumieć już na samym początku. Bo czy to nie dziwne, że Mikkel wybrał właśnie ją?

Potrafiła być trudna. Miała tego pełną świadomość. Zwłaszcza wtedy, kiedy wbiła sobie coś do głowy. I czasami nie odpuszczała, aż było za późno. Kiedyś ubzduriała sobie, że Mikkel ją zdradza, przy pierwszej nadarzającej się okazji przeszukała jego rzeczy wraz z komputerem, ale nie znalazła nic podejrzanego.

I gdyby na tym poprzestała, wszystko dobrze by się skończyło, ale nie, musiała wpaść na genialny pomysł, by go śledzić dwa wieczory z rzędu, jak w starym szpiegowskim filmie. Chciała się przekonać, czy rzeczywiście umówił się z kolegą. Oczywiście wszystko wyszło na jaw i oczywiście Mikkel się wściekł. A właściwie gorzej – wpadł w szal. Tak jak tamtym razem, kiedy zapytała go o jeden raz za dużo o byłą dziewczynę, która zginęła w wypadku samochodowym.

– A tutaj mamy nowy budynek opery! – Mikkel pokazał wiośłem na okazałą budowlę.

– Piękny! – odkrzyknęła Erica. – Może byśmy już zawrócili?

– Nie, nie widzisz, jaka spokojna i przyjemna jest woda?

– Widzę, ale może wystarczy na pierwszy raz? Strasznie mnie bołą ręce.

– Dasz radę je jeszcze trochę potrenować.

– Ale Mikkel... nie czuję się tu bezpieczna, rozumiesz? Boję się i chcę wracać. Myślę tylko o tym, żeby zejść na ląd.

– Nie ma się czego bać, zapewniam cię.

Ujrzała na jego twarzy uśmiech, ten sam, który sprawiał, że na wszystko się godziła. Działał na nią jak kryptonit na Supermana, mogła więc tylko westchnąć i powiosłować dalej, w stronę otwartego morza.

Uśmiechał się dokładnie w ten sam sposób jak tamtego dnia, kiedy imprezowała z koleżankami w Kopenhadze, a on nagle podszedł do niej i zapytał, czy może jej postawić drinka. Z miejsca się w nim zakochała, dwa tygodnie później rzuciła pracę w Helsingborgu i przeprowadziła się do stolicy Danii.

Matka suszyła jej głowę, że za szybko podejmuje decyzje, że rzuca wszystko dla mężczyzny, którego w ogóle nie zna, lecz Erica jej nie słuchała. A w każdym razie wtedy tak było.

– Dopłyniemy tylko do Reffen i tam zawrócimy! – zawołał Mikkel po kolejnych kilkuset metrach. – Okej?

– Nie wiem, czy mam na to ochotę – odpowiedziała. – Serio, Mikkel. Strasznie kołysz i...

– Wcale nie. Musisz się po prostu rozluźnić i dalej wiosłować. Równo i spokojnie.

Dlaczego nie mógł jej po prostu powiedzieć, że to koniec, i poprosić, żeby się wyprowadziła, skoro tak bardzo tego chciał? Owszem, zrobiłby jej wielką przykrość i bardzo by się zezłościła. Z pewnością by na niego krzyczała, zarzuciłaby mu to i owo, może nawet zaczęłaby w niego ciskać przedmiotami.

Ale w końcu musiałyby zaakceptować jego decyzję i wrócić do Helsingborga, choć zanim by się ostatecznie poddała, pewnie próbowałyby jeszcze namówić go do zmiany zdania. Ale na tym byłby koniec.

Najwyraźniej nie miał odwagi tego zrobić. To było jedyne logiczne wyjaśnienie. Erica miała wybuchowy temperament, to nie ulegało wątpliwości. Ale i tak był niczym w porównaniu z charakterem Mikkela.

Przy kilku okazjach udało mu się ją naprawdę wystraszyć. Zwłaszcza tamtego dnia, kiedy zagroziła, że jeśli nie pozwoli jej spać, pójdzie na policję i oskarży go o gwałt. Wściekł się wtedy tak, że wbił pięść w ścianę kilka centymetrów nad jej głową. Tak mocno, że zrobił w tynku dziurę.

Ale to było wtedy. Teraz już nie chciał z nią spać.

Świadomość, o co w tym wszystkim właściwie chodzi, uderzyła ją kilka minut później, kiedy ujrzała statek wycieczkowy wpływający do portu w odległości około kilometra od ich kajaków. W jednej chwili zrozumiała plan Mikkela.

I ogarnęła ją fala paniki.

– Spójrz tam! – zawołał, podczas gdy Erica rozglądała się za drogą ucieczki. Chciała się jak najszybciej znaleźć z dala od tego koszmaru, od niego, wrócić do Szwecji. – Widzisz te białe rzeź-

by? – Pokazał palcem na rząd śnieżnobiałych figur ustawionych na nabrzeżu.

Musiał się domyślić, że przejrzała jego plan, i próbował odwrócić jej uwagę. Owszem, rzeźby były naprawdę ładne, dumnie wpatrywały się w wodę, stawiając opór wiatrom i niepogodzie. Jednak Erica była w stanie tylko rzucić na nie okiem. Cała jej uwaga skupiła się na wycieczkowcu.

Wiedziała, że nie pokona całej drogi w ich stronę, tylko rzuci cumy na nabrzeżu Langelinie. Lecz fale, jakie wywoła, dotrą w głąb portu i choć Erica jeszcze ich nie widziała, była przekonana, że już w tej sekundzie pędzą w jej stronę.

Wywróci się, nie miała co do tego żadnych wątpliwości, wiedziało to jej ciało, a kiedy to się stanie, nie będzie miała szans. I przede wszystkim wiedział to on. Czy naprawdę związała się z psychopatą? Czy właśnie tak postępował za każdym razem, kiedy znudził się jakąś dziewczyną? Doprowadzał do tego, że ginęła w jakimś okropnym wypadku?

Jasne, że musieli wypłynąć prawie na otwarte morze, gdzie nie będzie świadków. Będzie to wyglądało jak utonięcie kolejnej nieumiejącej pływać, nieostrożnej idiotki, która zasili ponure statystyki.

– Ratunku! – krzyknęła, wiosłując w stronę brzegu. – Pomocy!  
– Erico, co ty wyprawiasz?

Nie przestając wymachiwać wiosłem, obejrzała się przez ramię i ujrzała nadciągającą falę. A raczej fale. Dopatrzyła się aż trzech w odstępnie kilkudziesięciu metrów. Z tej odległości nie wyglądały na szczególnie groźne, ale były szybkie i już sama ich prędkość napawała Erikę przerażeniem.

– Erico!

Wiosłowała z całych sił, ale kajak zdawał się nie reagować. Zamiast płynąć naprzód, miotał się na prawo i lewo. Niech to szlag, szlag, szlag! Dlaczego nie posłuchała mamy? Jak mogła nie dostrzec tych wszystkich znaków ostrzegawczych, które w tej chwili wydawały się tak oczywiste? Jak mogła być tak naiwna?

W następnej sekundzie uderzyła w nią fala.

I stało się dokładnie to, co przewidziała.



Poczuła ją całym ciałem, jej wielkość i siłę, tył kajaku znalazł się pod wodą i sekundę później wystrzelił w górę. „O kurwa” – zdążyła pomyśleć, zanim kajak spadł do góry dnem.

Erica zamknęła oczy. Zupełnie jakby wierzyła, że dopóki nie patrzy, nie grozi jej nic złego. Choćby nie wiadomo jednak, jak mocno zaciskała powieki, wciąż znajdowała się pod wodą, zimną i ciemną, do góry nogami, wciśnięta w kajak. Tłumaczono jej, jak należy wykonać manewr eskimoski i wrócić na powierzchnię, ale już po pierwszej próbie zrozumiała, że nic z tego nie wyjdzie. W dodatku miała zablokowane kolana.

A więc tak będzie wyglądał jej koniec. Odejdzie z tego świata, zwi-sając w wodzie głową w dół. O dziwo, poczuła, że ogarnia ją przedziw-ny spokój. Jakby panika, która do tej chwili trzymała ją w mocnym uścisku, nagle odpuściła. Być może dlatego, że Erica porzuciła nadzie-ję i zaakceptowała swój los.

Nie wiedziała, jak długo jest pod wodą, ale musiały minąć zaledwie sekundy, bo wciąż nie czuła potrzeby, by zaczerpnąć powietrza. Może tak czuje się każdy tuż przed końcem. Sekundy zwalniają, a czas zdaje się rozciągać w nieskończoność.

Po chwili pierwszy raz w życiu otworzyła oczy pod wodą. Nigdy wcześniej nie zebrała się na taką odwagę, ale teraz nie miała nic do stracenia. Za chwilę umrze i równie dobrze może wyjść naprzeciw śmierci z otwartymi oczami.

Wbrew przewidywaniom nic jej nie zabolowało. Właściwie prawie nic nie poczuła. Nie było też aż tak ciemno. Wręcz było jasno. Jasno i zielono. I wszystko wydawało się zamazane.

Nagle poczuła, że musi zaczerpnąć powietrza. W tej samej chwili, w której odchyliła głowę, by spojrzeć w dół, ujrzała samochód. Tkwił kilka metrów pod nią, nieco po skosie. I wraz z nim wróciła panika.

Tył auta opierał się na wielkim betonowym bloku, a przód zawisł jakieś pół metra nad dnem. Szyby były opuszczone, a nad tylną kanapą unosiły się zwłoki nagiej kobiety o długich ciemnych włosach. Gdyby nie miała otwartych ust i wytrzeszczonych oczu, wyglądałaby jak na ujęciu w jakiejś reklamie.

W następnej sekundzie gdzieś wysoko nad Eriką wyszło słońce, jego promienie wpadły do wody i znacznie poprawiły widoczność. Ujrzała mężczyznę w smokingu, siedział z przodu, a jego głowa spoczywała na kierownicy.

Nie zdążyła zobaczyć więcej, bo nagle coś pociągnęło ją ku powierzchni. Przed oczami mignął jej jeszcze tył jego głowy przypominający wyglądem krwawy krater.

3–5 sierpnia 2012

Wielu z nas wierzy, że ostatecznie zwycięży dobro. Wielu z nas pragnie, byśmy wszyscy zrozumieli, że razem jesteśmy najsilniejsi. Że mimo różnych kolorów skóry, kultur i religii tworzymy jedność i wspólnymi siłami możemy pokonać wielkie niesprawiedliwości, uratować klimat, a nawet zaprowadzić pokój na ziemi.

Niestety to utopijne myślenie. Świat, jaki znamy, nie jest zbudowany z marzeń o szczęśliwym zakończeniu. Myśl, że można wyciągnąć rękę i pomóc słabszemu, jest piękna. Ale to tylko teoria.

W rzeczywistości w grze uczestniczą całkiem inne siły. Jeśli mamy coś cennego, natychmiast zjawia się ktoś, kto próbuje nam to odebrać. Jeden uleczony element to od razu nadejście innej choroby. I dzieje się tak wszędzie, od komórek w naszych ciałach po gwiazdy, które gasną i zmieniają się w czarne dziury.

Zgodnie z teorią opracowaną przez grupę chińskich badaczy wyjaśnienie destruktywnych zachowań u człowieka tkwi w wielkości jego mózgu. W dużym uproszczeniu – jest on na tyle duży, by wymyślić bombę atomową, ale jednocześnie zbyt mały, żeby przewidzieć konsekwencje tego czynu.

Według innej teorii gwarancją przetrwania i dalszej egzystencji nie jest bynajmniej dobro. To nie ono odpowiada za dobór naturalny, nieustający rozwój i zmiany sprawiające, że lew potrafi przeżyć na sawannie, a drzewo sięga koroną jeszcze wyżej w stronę światła.

Innymi słowy, nie dobru zawdzięczamy fakt, że przebyliśmy drogę od planktonu, poprzez ryby, a potem dalej, aż staliśmy się ludźmi. Zawdzięczamy to złu.

To jemu powinniśmy podziękować.

Złu w najczystszej formie.

Stary ceglany dom przy zachodnim brzegu jeziora Sankt Jørgens w centrum Kopenhagi wydawał się ucieleśnieniem przeciwieństw. Z jednej strony był tak niepozorny, że zauważało go niewiele mieszkańców miasta spacerujących wokół jezior, z drugiej, mimo niewielkich rozmiarów, był na swój sposób imponujący i domagał się uwagi.

Przykuwała ją przede wszystkim pomalowana na czarno południowa ściana szczytowa, udekorowana reliefem przedstawiającym białych pionek szachowy. Albo blaszany dach, którego narożniki też opatrzone czarnymi pionkami. Nikt nie wiedział, co oznaczały. W budynku nigdy nie mieścił się klub szachowy, żaden niegdysiejszy właściciel też nie miał nic wspólnego z tą grą. Być może pionki miały symbolizować fakt, że nawet najsłabsza figura może z czasem urosnąć w siłę i stać się królową.

Pełne sprzeczności było też wnętrze. Oprócz kilku schowków, łazienki i małej kuchni w budynku znajdowało się tylko jedno pomieszczenie. Dzięki pomalowanej na biało drewnianej podłodze, otwartej przestrzeni sięgającej aż pod sam dach i wielkim oknom połaciowym w najlepszym świetle wydawało się o wiele większe niż cały budynek z zewnątrz.

Mimo to od miesiąca panowała w nim dość klaustrofobiczna atmosfera, bo całe wnętrze wypełniało tyle sprzętu, że wyglądało jak wciśnięte w ciasną klitkę studio nagrań muzyki elektronicznej.

Wzdłuż jednej długiej ściany, pod oknem dachowym stały w rzędzie stoły zapełnione komputerami, monitorami, niezliczonymi szafkami rackowymi z migającymi kolorowymi diodami i płytkami drukowanymi, które z kolei połączono z innymi urządzeniami płątaniną wielobarwnych kabli.

Krótsze ściany pokoju wyłożono białymi tablicami. Na jednej z nich widniał duży napis „Kim Sleizner”, a pod spodem przypięto mnóstwo zdjęć, wszystkie zrobione z odległości, przedstawiające tego samego mężczyznę. Na jednych szedł w stronę komendy kopenhaskiej policji albo oddalał się od niej, na innych rozmawiał przez telefon, a na kolejnych siedział w samochodzie i czekał na zielone światło.

Na sąsiedniej tablicy nakreślono diagramy, słupki z krzywymi i listę numerów telefonu, każdy oznaczony inną literą, datą i godziną. Z wiszącej obok dużej mapy Kopenhagi sterczało mnóstwo małych flag, one też oznaczono różnymi literami.

Ktoś niewtajemniczony mógł pomyśleć, że panuje tu kompletny chaos, jednak skrywał się za tym system, szczegółowy plan notatek, strzałek, skrótów i symboli, a także rozmieszczenia i połączenia ze sobą różnych urzędzeń, by umożliwiły jak najlepszy ogłód oraz panowanie nad sytuacją.

Jak zwykle o tej porze dnia w domu panowało coś na kształt kontrolowanego spokoju. Zupełnie jakby całe zebrane tutaj wyposażenie tworzyło wielkie, uspięne w tej chwili ciało, o pulsie tak niskim, że ledwie wyczuwalnym. Tu i tam migała jakaś dioda, ale nic nie zdradzało pośpiechu. Przeciwnie, światełka zapalały się nieśpiesznie i powoli jaśniały, jakby trwały w stanie elektronicznej medytacji i do spółki z wygaszaczami ekranu koncentrowały się na swoich snach, jednym bardziej fantastycznym od drugiego.

Wszystko działało w trybie oszczędzania energii, gotowe w każdej chwili zareagować, gdyby zaszła taka potrzeba.

Jeśli wydarzyłoby się cokolwiek. I w dowolnym momencie.

W tym samym pomieszczeniu, kilka metrów nad podłogą, nad stertą ustawionych do góry nogami taboretów, na stalowej rurce opartej o belki konstrukcyjne dźwigające dach podciągała się na jednej ręce Dunja Hougaard. Wiedziała, że nie ma sensu forsowanie się tylko po to, by odhaczyć to ćwiczenie. Liczyła się wytrzymałość. Bez niej dawno byłaby stracona i porzuciłaby cały projekt wiele miesięcy temu. Wmówiłaby sobie, że tak naprawdę nie ma nic do wykrycia i nie jest w stanie sprawić, by Kim Sleizner, szef wydziału zabójstw kopenhaskiej policji, odpowiedział za swoje czyny.

Nic jednak nie było w stanie skłonić jej, by się poddała. I nie tylko dlatego, że Sleizner ucieleśniał istne przeciwieństwo tego, kim powinien być ktoś zajmujący wysokie stanowisko w policyjnych strukturach. Powodem nie był też fakt, że sabotował wszystkie jej działania, kiedy jeszcze pracowała jako śledcza, mimo że kilka osób musiało zapłacić życiem za jego decyzje. Nie robiła tego również dlatego, że

kiedyś wepchnął jej między nogi swoje wstrętne paluchy, próbował ją zgwałcić, a potem wyrzucił na bruk. Nie to powodowało, że wciąż tlił się w niej ogień. Podtrzymywała go myśl o tym wszystkim, czego jeszcze nie znaleźli. Dunja nie miała wątpliwości, że gdzieś głęboko czają się kolejne świństwa Sleiznera, które tylko czekają, by je odkryła i wyciągnęła na światło dnia.

Sięgnąwszy kolejny raz brodą ponad rurkę, opuściła się tak wolno, na ile pozwalały mięśnie obolałe od zakwasów. Czuła klucie i pieczenie, ale właśnie taki był jej cel. Zmierzała dokładnie do chwili, w której dziewięćdziesiąt osiem procent jej ciała chciało dać za wygraną, ale pozostałe dwa pamiętały, że upadek z trzech metrów na odwrócone taborety zaboli o wiele bardziej niż kolejne podciągnięcie.

Chwyliła rurkę drugą dłonią i wróciła do ćwiczenia, jak najwolniej. Zostały jej jeszcze cztery podciągnięcia i na tym miała zakończyć dzisiejszy trening.

Była silna jak nigdy. Od wiosny codziennie dawała sobie dwugodzinnny wycisk siłowy, a potem kończyła ćwiczenia godziną jogi. W kilka miesięcy jej ciało doznało przemiany, w jaką nigdy wcześniej by nie uwierzyła. Na wadze przybrała kilka kilogramów, a jednocześnie stała się smuklejsza. Przede wszystkim jednak zbudowała wytrzymałość. Dobrze wiedziała, gdzie znajduje się granica tego, do czego jest zdolne jej ciało, i każdego dnia przesuwawała ją kawałek dalej.

Początkowo trening był złem koniecznym. Wiedziała, że jeśli chce mieć jakiegokolwiek szanse w starciu ze Sleiznerem, musi być od niego szybsza i silniejsza. O jedno z dwojga mogła być spokojna, sądząc po zdjęciach, które mu ostatnio zrobili. Stanowiły dowód na to, że pochłonięty poszukiwaniem jej zaniedbał swoją formę, choć niedawno wrócił do porannej jogi.

Mimo wszystko Dunja znała go na tyle, by wiedzieć, że musi być czujna. Poza tym wyczerpujące treningi tak ją wciągnęły, że musiała je wykonywać codziennie, by nie oszaleć od nadmiaru energii.

gorzej było z obserwacją. Na razie niczego nie wykazała. Nie znaleźli nic, co można było uznać za podejrzanę czy choćby intrygującą. Nie mieli żadnego konkretnego, który pomógłby im go pogrążyć, mimo że przez ostatnie tygodnie pilnowali go prawie non stop. Podśluchali każ-

dą przeprowadzoną przez niego rozmowę, przeczytali i przeanalizowali każdą wysłaną wiadomość i każdy mejl. Drobiazgowo przeczesałi jego finanse, z pomocą nadajnika GPS zamontowanego w jego telefonie śledzili każdy jego ruch tak dokładnie, że z niewielkim marginesem błędu mogli praktycznie w każdej chwili określić, gdzie się znajduje i co tam robi. Często udawało im się przewidzieć jego działania i określić wszystkie zmienne, jeszcze zanim Sleizner wykonał ruch.

Innymi słowy, Sleizner był rozpracowany w najdrobniejszych szczegółach i Dunja odkryła ze zdziwieniem, jak szablonowe i nudne okazało się jego życie. Najbardziej ekscytującym wydarzeniem były regularne wizyty u Jenny Nielsen na Nøjsomhedsvej 4. A raczej Jenny Wet-Pussy Nielsen, bo tak zwykle o niej mówiono.

Jenny była tą samą prostytutką, z którą Sleizner umawiał się trzy lata wcześniej na tylnym siedzeniu swojego auta zaparkowanego przy Lille Istedgade. Wówczas, gdy tylko media dostały cynk, wybuchł z tego powodu niemały skandal, zwłaszcza po tym, gdy się okazało, że Sleizner zabawiał się tak w godzinach pracy i przegapił ważną rozmowę ze szwedzką policją z Helsingborga.

Fareed Cherukuri, z własnej inicjatywy, bez żadnego udziału Dunji, dał cynk gazecie „Ekstra Bladet”, która opublikowała news, rozpoczynając wielotygodniową kampanię obnażającą wyczyny Sleiznera – w najlepszym czasie antenowym i na pierwszych stronach praktycznie wszystkich innych gazet. Z tego powodu odeszła od niego żona, a komendant główny duńskiej policji Henrik Hammersten wysłał go na przymusowy urlop.

Nietrudno było się domyślić, że dla nastroszonego koguta z parciem na szkło, jakim był Sleizner, te wydarzenia oznaczały potężny cios. Z jakiejś przyczyny winą za wszystko obarczył Dunję i od tamtego czasu robił wszystko, co w jego mocy, by ją zniszczyć.

Musiał mieć lojalnych przyjaciół w najważniejszych urzędach w kraju, bo jakimś cudem po kilku latach wrócił do łask i zdawał się stale rosnać w siłę. Ten jego *come back* w takim stylu był praktycznie niemożliwy i Dunja wciąż zachodziła w głowę, jak Sleizner tego dokonał.

Fakt, że odbywał regularne wizyty u prostytutki, mającej zresztą najlepsze lata za sobą, nie był już ani materiałem na skandal, ani

łamaniem prawa. Co najwyżej można było uznać to za żałosne, ale to nie wystarczało, by go pogrążyć. Przeciwnie, wiele osób uznałoby zapewne takie zachowanie za zwyczajną, ludzką rzecz.

Jeśli Dunja miałyby być szczerą, przyznałyby, że spodziewała się po nim czegoś o wiele bardziej ekstrawaganckiego i dekadentckiego. Na przykład podwójnego życia, jedną nogą w policji, a drugą... I właśnie na tym polegał jej największy problem. Nic nie znalazła. Mimo to nie mogła się wyzbyć wrażenia, że coś się w tym jego pozornie nudnym życiu nie zgadza. Bo choć zainwestowali już tyle czasu i energii, nie wspominając o sprzęcie, nie udało im się nawet wydrapać rysy na gładkiej fasadzie stworzonej przez Sleiznera.

Dunja nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej były szef jest przesiąknięty złem do szpiku kości. I nie miało znaczenia, jak długo zamierzał udawać uczciwego policjanta, bo potrafiła przejrzeć go na wskroś, przez wypolerowaną maskę, i miała całkowitą pewność, że to tylko gra.

Dlatego nie mogli się poddać, lecz musieli szukać dalej, aż w końcu natrafiają na jakiś ślad. Musieli dalej go podsłuchiwać, śledzić i analizować każdy jego ruch. Gdzieś tam, w ukryciu, Sleizner miał szafę pełną spraw, które nie wytrzymałyby ani sekundy w świetle dziennym.

W dodatku musieli działać szybko, bo Sleizner nie próżnował. Poświęcał cały swój czas na budowanie obrony i umacnianie swojej pozycji, by w przyszłości nie zaszkodził mu już żaden skandal. I z tego, co Dunja zdołała zaobserwować, wynikało, że był na najlepszej drodze do sukcesu.

Podniosła się kolejny raz, choć jej mięśnie krzyczały z bólu, nieświadoma, co dzieje się kilka metrów pod nią.

Zmiana zaszła przed paroma minutami, gdy zamigotała dioda w jednym z modułów. Z początku świeciła tak samo jak inne, ale po chwili jej błyskanie zmieniło charakter, nieśmiało, lecz wystarczająco, by uznać, że zachowuje się inaczej niż reszta. Jaśniała energiczniej i nieregularnie. Jakby obudziła się ze spokojnego snu i spostrzegła, że zasnęła.

Po chwili migotanie udzieliło się innym ponad pięćdziesięciu diodom, jakby rozprzestrzenił się między nimi jakiś wirus. Tuż po tym



zaczęły się budzić monitory. Pozrzuciły z siebie wygaszacze ekranów i pokazały najróżniejsze programy, wykresy, regulatory oraz linie czasu, i dały znać, że rozpoczęły nagrywanie.

Na jednym z nich pojawił się pokój z wielkim kryształowym żyrandolem wiszącym nad nieposłanym podwójnym łóżkiem. Na skraju łóżka siedział nagi Kim Sleizner z zaczątkiem łysiny na ciemieniu. Przeciągał się.

Głośnik obok monitora wypluł stęknienie i trzaskanie kręgów szyjnych wskakujących na swoje miejsca. Zaraz po tym Sleizner wstał i zniknął z pola widzenia.

Usłyszawszy te dźwięki, Dunja rozhuštała się lekko, skoczyła w dół i wylądowała na czworakach obok sterty krzeseł. Podchodząc do monitorów, rzuciła okiem na zegarek na nadgarstku i stwierdziła, że jest dopiero dziesięć po piątej.

Odkąd zaczęła obserwować Sleiznera, jeszcze nigdy nie udało mu się wstać o tak wczesnej porze. Najwyraźniej więc wydarzyło się coś niezwykłego.

Wiszący na dźwigu i opuszczany właśnie na betonowe nabrzeże biały mercedes z oddali wyglądał prawie jak nowy. Jakby go właśnie dostarczono z fabryki i miał po raz pierwszy wyjechać na drogę. Jednak woda wylewająca się z otwartych okien, wodorosty zwisające ze szczeliny pod maską i dwie ludzkie sylwetki zdradzały, że rzeczywistość przedstawia się inaczej.

Janowi Heskowi widok ten sprawiał autentyczną przyjemność. Chwilę temu przyjechał żwirową dróżką na skraj Refshaleøen, zaparkował w rozsądnej odległości od dźwigu i teraz obserwował operację z nieskrywanym zadowoleniem.

Owszem, pora była nieprzyzwoicie wczesna i musiał przerwać urlop. W chwili gdy go wezwano, kończył pakować samochód i miał zabrać rodzinę na Półwysep Jutlandzki, gdzie, ku wielkiej uciechy dzieciaków, zamierzali odwiedzić Legoland. Nigdy wcześniej tam nie byli i wreszcie planowali nadrobić tę zaległość, więc Jan doskonale rozumiał ich rozczarowanie. Jeszcze gorzej zareagowała Lone – odpała wszystkie silniki i wszczyła głośną kłótnię na podjeździe przed domem.

On sam zdołał zachować jako taki spokój i zrobił zasmuconą minę, ale szybko zrzucił winę na okoliczności swojej pracy, nie zdradzając ani słowem, że nie może się doczekać, aż wreszcie skończy mu się urlop.

Już od pierwszego tygodnia wolnego musiał ogarniać całym dom, bo Lone przeprowadzała inwentaryzację w swoim sklepie z wolnymi od plastiku rzeczami dla niemowląt, i czuł, że aż swędzą go palce, by jak najszybciej wrócić do pracy. Zachował to jednak dla siebie i w milczeniu budował domek na drzewie, smażył naleśniki oraz urządzał wycieczki rowerowe do Amager Strandpark, gdy tylko Benjamin zaczął zdradzać oznaki znudzenia siedzeniem w domu.

Teraz nareszcie znów był w swoim żywiole, w dodatku właśnie objął nowe stanowisko. Marzył o nim, odkąd zaczął pracę w wydziale zabójstw. Awans zawdzięczał wydarzeniom w parku rozrywki Tivoli, do których doszło przed miesiącem. Od tamtej pory właściwie wszyst-

ko się zmieniło. Obiektywnie rzecz biorąc, rozegrała się tam wielka tragedia i krewni ofiar zapewne wciąż przeżywali koszmar, jakiego nigdy wcześniej nawet sobie nie wyobrażali.

Jednak dla Jana Heska tamten dzień stanowił punkt zwrotny w karierze. W jego dotychczasowym życiu nigdy nie było tak wyraźnego „przed” i „po”. O ile wcześniej w oczach swojego szefa Kima Sleiznera był niczym pies, którym można było pomiatać, o tyle dziś cieszył się jego wielkim uznaniem.

Sposób, w jaki poradził sobie z kryzysem, zrobił na Sleiznerze tak wielkie wrażenie, że przyznał mu nie tylko podwyżkę, ale też przydzielił gabinet i przede wszystkim – awansował go. Nareszcie Jan mógł przejąć dowodzenie nad własnym zespołem.

Technik kryminalistyki Torben Hemmer też dotarł na miejsce i już wypakowywał z furgonetki swój sprzęt, chociaż operator dźwigu nie zdążył jeszcze odpiąć pasów z ociekającego wodą samochodu.

Do tej pory Hesk i Hemmer znali się tylko przez telefon, lecz mimo to Jan był przekonany, że młody technik to świetny nabytek. Skoncentrowana energia i staranność, z jaką rozkładał narzędzia i przygotowywał się do działania, były dokładnie tym, czego Jan oczekiwał od swoich współpracowników. Nie ulegało wątpliwości, że Hemmer przyjechał tu, by pracować, a nie pić kawę i gadać o bzdurach.

Nie był o tym przekonany w przypadku Julie Bernstorff, choć nie wiedział, skąd to uczucie. Może wystarczył fakt, że okazała się taką pięknoscią. Patrząc, jak podchodzi, nie spodziewał się tak idealnych, niemal nierealnych rysów twarzy, ciemnych loków, jakie na co dzień widuje się tylko w reklamach, i niebotycznie długich nóg.

Wyglądała tak, jakby pracowała w świecie mody lub w innej pokrewnej branży, w dodatku sprawiała wrażenie, że nic nie jest w stanie zachwiać jej wyprostowaną sylwetką na wysokich obcasach. Sprawę dodatkowo pogarszał fakt, że zatrudnił ją sam Sleizner, a potem osobiście przydzielił do zespołu Heska.

– Cześć, Julie Bernstorff – rzuciła, jedną dłonią zakładając włosy za ucho, a drugą wyciągając w stronę Jana. – Jestem...

– Wiem – odparł Hesk. – Już się spotkaliśmy.

– No tak, teraz sobie przypominam – odparła, choć jej wzrok błędzący niepewnie po jego twarzy zdradzał, że to kłamstwo.

– Wiosną, kiedy przyszedłś na rozmowę o pracę do Kima Sleiznera – dodał, by jej trochę pomóc. – Poznaliśmy się na korytarzu, ale pewnie miałaś wtedy głowę zaprzątniętą innymi sprawami. – Postanowił dać jej szansę, zanim wymieni ją na kogoś innego.

– Ach tak, no właśnie! – Uśmiechnęła się promiennie.

– Tak czy inaczej, witam w zespole. – Ucisnął jej dłoń, potrząsnął nią krótko, a potem ruszył w stronę mercedesa. Może i była ładna, ale w jego drużynie nikt nie miał forów.

– Chwileczkę, jest coś, co chciałabym...

– Proponuję, żebyśmy z tym poczekali, aż się uporamy z najpilniejszymi sprawami – przerwał jej, nie zwalniając kroku.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, bo...

Hesk przystanął i odwrócił się na pięcie.

– Posłuchaj, Julie. Nie jestem szczególnie skomplikowany. Zależy mi przede wszystkim na tym, żeby każdy robił to, co do niego należy, a w twoim przypadku, bo, o ile wiem, jesteś jeszcze całkiem zielona, polega to przede wszystkim na trzymaniu się w tyle, słuchaniu i uczeniu się od bardziej doświadczonych. – Uśmiechnął się krzywo i ruszył dalej.

Nie chciał dorobić się opinii, jaką miał Sleizner – szefa z piekła rodem, któremu wszyscy się podlizują, choć w głębi serca szczerze go nie znoszą. Jednak w tej chwili nie było czasu na rozmowy organizacyjne, planowanie urlopów i inne tego typu sprawy, które od dziś również należały do jego obowiązków. Teraz czekały na nich dwa ciała wyłowione z morza i nowe śledztwo.

Z tego, co Hesk do tej pory usłyszał, wynikało, że dochodzenie nie miało być szczególnie skomplikowane. Uważał to za duży plus. On i jego zespół mogli jedynie wygrać na jak najszybszym rozwiązaniu sprawy i – przede wszystkim – mieli szansę pokazać Sleiznerowi, że są kompetentni i potrafią udźwignąć powierzoną im odpowiedzialność. Stworzyłyby to solidną podstawę, dzięki której w przyszłości otrzymywaliby bardziej skomplikowane zadania.

– Cześć, Torben. – Wyciągnął rękę do Hemmera, który właśnie zasuwał zamek w kombinezonie ochronnym. – Widzę, że już zabrałeś się do pracy. Postanowiłem skorzystać z okazji i powitać cię w zespole.

– Dziękuję. I muszę odmówić. – Technik wskazał skinieniem głowy rękę Heska. – Nie wiem, co nią przed chwilą robiłeś, i nie będę ryzykował zanieczyszczenia miejsca zdarzenia niepożądanymi śladami.

– Jasne – odparł Hesk, podnosząc ręce do góry. – Ale niepotrzebnie się martwisz. Są tak dokładnie zdezynfekowane, że miałbym problemy, gdyby mnie zatrzymała drogówka. – Zaśmiał się. – Rozumiesz, promile.

– Oczywiście. Ale proponuję, żebyśmy porozmawiali później, kiedy nie będą już na nas czekały dwa gnijące ciała. W dodatku ci tam też chcą się jak najszybciej do nich dostać. – Hemmer skinął głową na nadzieżdżającą karetkę.

– Jasne, jasne. – Hesk cofnął się o krok i poczuł, jak zalewa go fala odrazy do samego siebie. – Bierz się do roboty, w końcu po to tu przyjechaliśmy. Ja przesłucham świadków. – Zamilkł i rozejrzał się dokoła. – Tylko gdzie oni się podziali? – Odwrócił się i spojrzał na Bernstorff. – Nie miało ich być dwoje? Kobieta i mężczyzna?

– Zgadza się. – Julie kiwnęła głową. – Właśnie to próbowałam ci wyjaśnić. Już z nimi rozmawiałam.

– Chcesz powiedzieć, że przesłuchałaś świadków na własną rękę, nawet mnie o tym nie informując?

Bernstorff znów potaknęła.

– Pierwsza dotarłam na miejsce, a oni byli poważnie wychłodzeni i znajdowali się w stanie szoku. Zwłaszcza ta kobieta. Wyglądało na to, że lada chwila się załamie, więc oceniłam sytuację i doszłam do wniosku, że potrzebuje pomocy i trzeba jej jak najszybciej podać coś na uspokojenie.

– Okej. – Hesk kiwnął głową i nareszcie poczuł grunt pod nogami, bo uwaga wszystkich odwróciła się od krępującego pierwszego spotkania z Hemmerem. – Ale następnym razem pamiętaj o tym, żeby mnie powiadomić.

– Pamiętałam. Próbowałam dzwonić.

– Naprawdę?

– Tak, ale nie odbierałeś.  
Musiała trafić w sam środek awantury z Lone. Niech to szlag.  
– W porządku, dajmy już temu spokój. Ustaliłaś coś?  
– Tylko tyle, że facet zabrał dziewczynę na wycieczkę kajakową, a ona wyrzuciła się na fali wywołanej przez wycieczkowicę.  
Hesk pokiwał głową. Julie z pewnością miała rację, z pewnością nie ustalą niczego więcej.

– To rzeczywiście niewiele. Mam nadzieję, że pamiętałaś o zapisaniu ich danych kontaktowych.

– Oczywiście. Wysłałam ci już mejla z nazwiskami i protokołem z przesłuchania.

No proszę, że też udało jej się ze wszystkim zdążyć. Hesk musiał przyznać, że mu zaimponowała.

– Świetnie – odrzekł i już miał rzucić coś, co pozwoliłoby mu zacząć od nowa w lepszej atmosferze, kiedy usłyszał zatraskujące się w tyle drzwi samochodu. Obejrzał się i zobaczył Mortena Heinesena. Kolega zbliżał się charakterystycznym, sztywnym i nieco niepewnym krokiem.

W swojej dotychczasowej karierze w policji Hesk najwięcej pracował właśnie z Heinesenem. I to jego uznawał za jedną z nielicznych osób, którym może zaufać. Miał pewność, że Heinesen nie będzie obmawiał go za plecami ani wbijał mu noża w plecy, by wspiąć się po szczeblach kariery. Mortenowi zależało jedynie na tym, żeby przestrzegać przepisów co do przecinka i wykonywać swoją pracę najlepiej, jak się da.

Mimo to Heinesen zawsze sprawiał wrażenie podenerwowanego, jakby przez całe życie go poganiano i nawykł do tego, że w każdej chwili musi się pilnować, bo z pewnością za moment znów oberwie. Dorobił się przez to niezасłużonej opinii najmniej rozgarniętego policjanta w wydziale, choć w rzeczywistości po prostu unikał konfliktów i powstrzymywał się od głośnego wypowiadania własnych opinii, by nie ryzykować starcia z którymś z kolegów.

– Dzień dobry, Morten – rzucił Hesk, zadowolony, że ktoś dotarł na miejsce później niż on. – Jak widać, ktoś tu poważnie traktuje jakże istotny dla urody, odpowiednio długi sen.

– Prawdę mówiąc, Morten przyjechał zaraz po mnie – odezwała się Bernstorff.

– Naprawdę? W takim razie dlaczego...

– Odwiozłem świadków do szpitala – wyjaśnił Heinesen.

– Ach tak, no jasne. – Hesk miał ochotę zapaść się pod ziemię. Ten ranek nie mógł się zacząć gorzej. Hesk nigdy nie umiał żartować, a dziś już dwa razy próbował rzucić coś śmiesznego i w obu przypadkach skończyło się to katastrofą. Co on wyprawiał? – Przepraszam, myślałem, że też się spóźniłeś, jak ja.

– Nic nie szkodzi – odparł Heinesen z uśmiechem. – Jak wam idzie? Dowiedzieliście się czegoś ciekawego?

– Jeszcze nie wiem – stwierdził Hesk, zakładając gumowe rękawiczki. – Chciałem dać Torbenowi chwilę, żeby zaczął w spokoju, ale chodźmy tam i rzućmy okiem.

Heinesen kiwnął głową i we troje ruszyli w stronę samochodu. Hemmer stał nad otwartym bagażnikiem i robił zdjęcia.

Hesk obszedł auto, otworzył prawe tylne drzwi i spojrzał na nagą kobietę leżącą na złożonym siedzeniu. Poczul, że nareszcie ogarnia go spokój. Właśnie tego w tej chwili potrzebował. Koncentracji na śledztwie. W tym był najlepszy i w tym czuł się najpewniej. Rola przywódcy pozostawała gdzieś daleko w tyle.

Kobieta była zaskakująco młoda, choć trudno było ocenić jej wiek. Nie była etniczną Dunką, a jej gładka skóra o złotawym odcieniu mogła należeć do piętnasto-, dwudziestopięcio-, może nawet trzydziestolatki. Nie było wątpliwości, że została uduszona, bo jej szyję okalał wianuszek ciemnych sińców.

Hesk był już na tyle doświadczonego śledczym, by wiedzieć, że w pierwszej kolejności należy sięgnąć po najniższy wiszący owoc, a więc wziąć pod uwagę to, co najoczywistsze. W 99 procentach przypadków nie było powodu niepotrzebnie komplikować sprawy. Rzeczywistość wyglądała inaczej niż film, którego scenarzysta próbował prześcignąć samego siebie w wymyślaniu łańcucha nieprawdopodobnych zdarzeń tylko po to, by dostarczyć widzom rozrywki.

Oczywiście zdarzały się wyjątki potwierdzające regułę. Za przykład mogły posłużyć sprawy, jakie w ostatnich latach przytrafiły się

temu Fabianowi Riskowi i jego szwedzkim kolegom po drugiej stronie cieśniny. Ale w szerszej perspektywie stanowiły one tylko niewielki wyskok ponad średnią.

W prawdziwym życiu miejsce zdarzenia zwykle mówiło wszystko na temat dramatu, który się rozegrał. Tylko w wyjątkowych przypadkach zabójstwo odbywało się wedle przemyślanego czy też jakiegokolwiek planu, a kiedy doszło już do zbrodni, sprawca rzadko zadawał sobie trud, by pozacierać ślady. A w tych rzadkich przypadkach, gdy decydował się na taki krok, zwykle pozostawiał po sobie nowe, które tylko ułatwiały pracę śledczym.

Hesk podniósł wzrok na Hemmera, który właśnie rozchylił nogi martwej kobiety i zrobił serię zdjęć. Zawsze czuł się w dziwny sposób zbrukany, gdy musiał oglądać kobiece zwłoki z obnażonymi genitaliami. Hemmer zdawał się nie mieć z tym najmniejszego problemu – pochylił się jeszcze niżej i z zapałem zapełniał kartę pamięci w aparacie.

– Dzień dobry, dzień dobry, jak wam tutaj idzie?

Hesk spojrzął ponad dachem samochodu i zobaczył krótko ostrzyżoną rudą kobietę w białym kitlu. Zbliżała się w towarzystwie dwóch ratowników medycznych.

– Trin Bladh, zakład medycyny sądowej – przedstawiła się, podnosząc dłonie w geście pozdrowienia.

– Zastępuje pani Oscara Pedersena? – spytał Heinesen.

– Nie, jestem jego nową koleżanką. Na pewno kazałyby was pozdrowić, gdyby wiedział, że tutaj jestem. No to jak będzie? Nie macie nic przeciwko, żebyśmy zajęli się zwłokami?

– Nietak szybko – zaprotestował Hesk. – Dajcie nam jeszcze kilka minut.

– Okej. Na kilka minut mogą się zgodzić. Ale nie dłużej. Sami wiecie, ciała były w wodzie, więc trzeba się śpieszyć.

Mógł ją zbombardować zgryźliwymi uwagami na temat tego, kto odpowiada za śledztwo, ale nie zamierzał upadać tak nisko. Postanowił, że będzie ponad to i pozwoli Bladh odegrać swoje przedstawienie. Otworzył przednie drzwi po stronie pasażera i zajrzał do środka, gdzie mężczyzna ubrany w smoking, białą koszulę i muchę siedział z głową opartą na kierownicy i poduszce powietrznej zwiotczałej jak przekłuty balon.



Krwawy krater na potylicy był tak duży, że Hesk zastanowił się naprędce, czy na pewno ma do czynienia z człowiekiem. Niestety właśnie tak było i każdy by się domyślił, że ciemne sińce wokół szyi martwej kobiety prawdopodobnie pochodziły od palców denata za kółkiem. Po krótkim namyśle Hesk wysnuł wniosek, że to, co ma przed oczami, wystarcza, by odtworzyć scenariusz całego zdarzenia.

– Cóż, nie wydaje mi się to szczególnie skomplikowane, nie sądzisz? – zwrócił się do Heinesena, który jednocześnie wzruszył ramionami i pokiwał głową.

– Wygląda na to, że gość posunął się trochę za daleko, udusił dziewczynę, a potem palnął sobie w łeb.

– To samo sobie pomyślałem.

– Pytanie brzmi, czy uprawiali seks w tym samochodzie.

Tym razem Hesk wzruszył ramionami.

– Z tego, co widać, nie ma tu nigdzie jej ubrania, więc jeśli miałbym zgadywać, robili to albo w mieszkaniu kogoś z nich, albo w jakimś anonimowym, bezobsługowym hotelu.

– Czyli gdziekolwiek – wtrąciła Bernstorff.

Hesk odwrócił się w jej stronę i już miał jej przypomnieć, że miała się nie odzywać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał i tylko uśmiechnął.

– Niekoniecznie – odparł. – Musiał mieć możliwość zabrania jej niepostrzeżenie z miejsca zabójstwa i przetransportowania do samochodu. Nie zawinął jej w folię ani w dywan. Poza tym czy mamy tu gdzieś broń? – Przeniósł wzrok na Hemmera, zabezpieczającego właśnie próbki włosów, ślady krwi i resztki substancji mózgowej ze ścianek samochodu.

– Leżała pod pedałem – oznajmił technik.

– A gdzie jest teraz?

– Na stoliku za twoimi plecami.

Hesk odwrócił się w stronę składanego mebla turystycznego zasłanego plastikowymi torebkami z zabezpieczonym materiałem. Jedna z nich zawierała pistolet. Podniósł ją i przyjrzał się półautomatycznemu modelowi CZ75. To była popularna broń, produkowana w Czechach i rozprowadzana po całym świecie.

– Julie, sprawdzisz numer seryjny DK556919B? – zwrócił się do Bernstorff.

Policjantka kiwnęła głową i odeszła na bok z telefonem.

Pomijając serię wpadek z samego rana, teraz szło mu całkiem nieźle. Jeśli praca dalej będzie się układała tak gładko, być może uporają się z tą sprawą w kilka dni i zdąży jeszcze zaskoczyć rodzinę wyprawą do Legolandu.

Jedynym dysonansem był wędkarz stojący w odległości jakichś trzydziestu metrów od taśmy policyjnej, spokojnie zarzucający raz po raz swoją wędkę. Hesk nie potrafił określić, co zwróciło jego uwagę, ale pożyczony od Hemmera aparat, zrobił duże zbliżenie i pstryknął kilkanaście zdjęć temu muskularnemu mężczyźnie ubranemu w kamizelkę wędkarską z mnóstwem kieszeni i kapelusz ze sznurkiem.

– Torben – odezwał się gdzieś z tyłu Heinesen. – Jesteś w stanie określić, jak długo samochód był pod wodą?

– Najwyżej kilka dni – odparł Hemmer. – Jeśli chcesz wiedzieć dokładnie, musisz poczekać, aż przyjrzę się bliżej elektronicznie.

Widok wędkarza w tym miejscu nie był niczym dziwnym, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Jednak przyglądając się mężczyźnie przez obiektyw aparatu, Hesk doszedł do wniosku, że ten człowiek nie ma pojęcia, jak trzymać wędkę ani tym bardziej jak ją zarzucać. To oczywiście nie musiało niczego dowodzić, bo i w łowieniu ryb trzeba od czegoś zacząć.

Chwilę później oddał aparat Hemmerowi i odwrócił się do Trin Bladh.

– Okej, zwłoki są wasze – oznajmił. – Róbcie, co do was należy. – Był pewien, że w najlepszym razie uda jej się potwierdzić to, co on już wiedział. Potem pozostawała już tylko identyfikacja, ale z tym nie powinno być żadnych problemów.

– Przepraszam, ale jest jeszcze jedna rzecz – odezwał się Heinesen, typowym dla siebie gestem wystawiając w powietrze palec wskazujący. – To z pewnością nie jest najistotniejsze, ale jeśli chcemy mieć pewność, że...

– W porządku – przerwał mu Hesk. – Powiedz, o co chodzi, i prześlemy resztę zakładowi medycyny sądowej.

– Jak wspomniałem, być może to nic takiego, ale pomyślałem o przebiegu zdarzeń, który podejrzewamy.

– Tak? Coś się w nim nie zgadza?

Heinesen przełknął ślinę.

– Nie jestem pewien, czy to się trzyma kupy. Zwłaszcza część, w której on odbiera sobie życie. A raczej sposób, w jaki to zrobił.

– Wetknął lufę do ust i wypalił. – Hesk wzruszył ramionami. – Co w tym zastanawiającego?

– Nic. Zastanawiające jest to, że musiałyby to zrobić w tym samym momencie, w którym zjeżdżał z nabrzeża do wody, a to, jak można by sądzić, nie jest chyba najłatwiejszy manewr. Poza tym nie sądzicie, że to trochę zbyt teatralne?

Hesk już miał powiedzieć coś, co pozwoliłoby im przejść do następnego etapu, ale nagle zdał sobie sprawę, że uwaga Heinesena jest trafna. Cała ta scena wydawała mu się wystudiowana.

– A może właśnie o to mu chodziło? – odezwał się w końcu. – Z jednej strony chciał się pożegnać z życiem w jak najszybszy i bezbolesny sposób, z drugiej chciał zniknąć i mieć pewność, że nikt go nie znajdzie.

– Okej. – Heinesen pokiwał głową. – Pewnie masz rację. Musiało tak być.

Tę teorię Hesk wyrzucił z siebie na poczekaniu. Nie musiało to oznaczać, że jest błędna czy zła, ale było oczywiste, że Heinesen kiwa głową, chociaż się nie zgadza. Dokładnie tak, jak robili wszyscy, kiedy ich szefem był Sleizner.

– Nie wierzysz w to, prawda? – zapytał.

– Nie, ale równie dobrze mogło być tak, jak mówisz. I pewnie tak było.

– Morten. – Hesk okrążył samochód i podszedł do kolegi. – W tej chwili interesuje mnie wyłącznie to, co masz do powiedzenia. Olej to, co twoim zdaniem chyba chciałbym usłyszeć.

– Coś tu nie gra.

To była w istocie ostatnia rzecz, jaką chciał usłyszeć Hesk.

Nie tego oczekiwał. Nie chciał śledztwa, które na samym początku napotkał blokadę i ruszy wstecz. Miał nadzieję rozwikłać sprawę o wiele szybciej i sprawniej, niż Sleizner się spodziewał. I pokazać

wszystkim, że jeśli z jego awansem było coś nie tak, to wyłącznie, że doszło do niego po tak długim czasie.

Ale Heinesen miał rację. Scenariusz, z pozoru tak oczywisty, nie trzymał się kupy. A Hesk nie mógł sobie pozwolić na błąd. Nie mógł przegapić jakiegos szczęgółu, który później okaże się kluczem do całej sprawy.

Odwrócił się do Hemmera.

– A ty co o tym myślisz, Torben? – zapytał. – Wydaje ci się prawdopodobne, że gość w tej samej chwili zjeżdżał z nabrzeża i strzelał sobie w łeb?

– W teorii to całkiem możliwe – odparł technik. – Mógł na przykład najpierw wylądować w wodzie i zaraz po tym strzelić. Samochód potrzebuje chwili, żeby zatonać.

– Ale ten ma opuszczone szyby – zauważył Heinesen.

– Zgoda, ale i tak musiało minąć co najmniej dwadzieścia sekund, nim nabrał wody, a on nie potrzebował aż tyle czasu.

– Ale? – odezwał się Hesk, przyglądając się Hemmerowi.

Technik spojrzał mu w oczy.

– Ale całkiem możliwe to nie to samo co prawdopodobne.

– Wydaje ci się, że było inaczej?

– Nie jest istotne to, co mi się wydaje. Liczy się to, co widzę, a niewiele wskazuje na to, że gość zastrzelił się w tym samochodzie.

– Co świadczy o tym, że zginął gdzie indziej?

– Całkiem sporo. Najoczywistszy jest brak kuli i śladów, jakie by zostawiła.

– Okej, ale skoro szyby były opuszczone... czy kula nie mogła wypaść na zewnątrz i wylądować na dnie?

– Wątpliwe. Ewentualnie przez któreś z tylnych okien, ale wtedy musiałyby się przebić przez zagłówek, a na nim nie ma żadnych śladów.

– Dlaczego nie przez któreś z okien z przodu?

– Bo musiałyby strzelać pod dużym i niewygodnym kątem. Kto odwraca głowę o dziewięćdziesiąt stopni w bok, strzelając sobie w łeb?

– Nie żebym podważał twoją teorię – odezwał się Heinesen. – Ale kiedy samochód tonął, musiał się nieźle kołysać na boki.

– To prawda. – Hemmer kiwnął głową i podrapał się w płatek ucha.  
– Trafna uwaga.

– Niezależnie od wszystkiego powinniśmy ściągnąć nurka i przeszukać dno – stwierdził Hesk.

– Druga sprawa to rozbryzg krwi – mówił dalej technik. – Oprócz kilku niewielkich śladów na wewnętrznych ściankach nie ma prawie nic. Zwłaszcza na suficie, a tam powinno być najwięcej, chyba że gość leżał na plecach, kiedy wystrzelił. – Hemmer pochylił się w przód, zajął do kabiny i pokazał palcem na sufit. – Widzicie? Czysto.

– Chwileczkę – powiedział Hesk, czując, że wraca ból głowy, który towarzyszył mu tego ranka podczas kłótni z Lone. – Auto było jakiś czas pod wodą. Czy to możliwe, że krew, substancja mózgowa i wszystko inne, co powinno się tu znaleźć, zostało zwyczajnie wypłukane? W niektórych miejscach bardziej, w innych mniej?

– Częściowo mogę się z tym zgodzić. Ale nie w przypadku sufitu, bo tam przez cały czas była spora bańka powietrza. Zobacz sam. – Hemmer pokazał na wyraźną nierówną linię, do której sięgała woda. Okalała spory kawałek miękkiej tapicerki pod dachem samochodu.

Hesk pokiwał głową. Nie zdołał powstrzymać ciężkiego westchnienia.

– No dobrze – powiedział. – Ale jakkolwiek na to spojrzeć, w aucie są wyraźne ślady krwi, a dla mnie to mocny dowód, że gość zastrzelił się właśnie tu. Inny scenariusz musiałby oznaczać, że zginął gdzie indziej, a potem ktoś posadził go za kierownicą. W dodatku musiałby zebrać trochę krwi i substancji mózgowej, nie pytajcie mnie jak, i ubrudzić nimi wnętrze samochodu. A na koniec jeszcze zepchnąć auto do wody, samemu nie wsiadając do środka. – Zamilkł na moment i rozłożył ręce. – Sami słyszycie, jak to brzmi.

– Zepchnięcie auta do wody to nic skomplikowanego – zauważył Heinesen, wystawiając w górę palec. – Wystarczyłoby stanąć przy otwartym oknie po stronie kierowcy, wsunąć do środka jakiś patyk albo parasolkę i nacisnąć na pedał gazu.

– Być może, ale moim zdaniem taki scenariusz nie przeszedłby nawet w najgorszym odcinku *Morderstw w Midsomer*.

– W tym przypadku muszę się z tobą zgodzić – zaśmiał się Hemmer. – Ale jeszcze nie skończyłem. Kto wie, może zaraz znajdę coś, co popchnie sprawę w całkiem innym kierunku?

Luźne przypuszczenia i pytania bez odpowiedzi. Ślady i tropy krzyżujące się ze sobą i zmierzające w różne strony, zamiast wskazywać w jedną. Jeśli sprawa miała się tak dalej rozwijać, napad migreny u Heska był nieunikniony.

– Tak, jestem, słucham – odezwała się Bernstorff, wracając do nich z telefonem przy uchu.

Hesk odwrócił się i zdał sobie sprawę, że całkiem zapomniał o jej istnieniu.

– DK556919B – wyrecytowała. – Okej, dziękuję. – Zakończyła rozmowę i spojrzała na kolegów. – Mamy nazwisko, na które zarejestrowana jest ta broń.

– Znakomicie, to przynajmniej jedna pewna rzecz. Dawaj – powiedział Hesk, ale jeszcze zanim usłyszał odpowiedź, domyślił się po minie Bernstorff, że to nie zwyczajne imię i nazwisko, a gdy wreszcie usłyszał słowa „Mogens Klinge”, zniknęła resztką pewności siebie, jaką odczuwał tego ranka. – TEN Mogens Klinge? – powtórzył, choć zarówno on, jak i jego migrena dobrze wiedzieli, że się nie przesłyszał.

– Nie mam pojęcia. A ilu może ich być?

– Zaraz, zaraz. – Heinesen pokazał palcem na trupa za kierownicą. – Chcecie powiedzieć, że to jest dyrektor biura wywiadu operacyjnego policji?

Bernstorff potwierdziła skinieniem głowy.

– Ma pozwolenie na wiele sztuk broni.

– Ale nawet jeśli to jego broń, to wcale nie musi oznaczać, że patrzymy na jego zwłoki.

– Nie, ale sprawdziłam też samochód i on również jest jego własnością.

– Okej... – Hesk pokiwał głową, by zyskać odrobinę czasu do namysłu. – To oczywiście stawia sprawę w zupełnie innym świetle. Morten, zadbaj o to, żeby zabezpieczono większy teren. Musimy mieć duży margines, bo lada chwila dotrą tu media i nie chcemy, żeby coś zwęszwały. – Przerwał na moment, obszedł auto i stanął przy oknie po

stronie kierowcy. – Im dłużej uda nam się to utrzymać w tajemnicy, tym lepiej dla śledztwa.

Heinesen się oddalił, a tymczasem Hesk otworzył drzwi i przyjrzał się mężczyźnie z twarzą opartą o kierownicę. By zyskali całkowitą pewność, zakład medycyny sądowej musiał przeprowadzić identyfikację, a to zwykle zajmowało dobrą chwilę. Musiał się zadowolić tym, co miał przed oczami, pchnął więc zwłoki i oparł je o fotel.

Twarz martwego mężczyzny była nieuszkodzona. Jedynymi oznakami, że coś jest nie tak, były otwarte usta i nieobecna mina, jakby do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy, co kula zrobi z jego potylicą. Hesk nie miał już wątpliwości, że patrzy na jedną z największych szych pionu operacyjnego policji.

Wyprostował się, odwrócił się tyłem do samochodu i swoich kolegów. Potem ruszył z miejsca, minął taśmę ogradzającą teren i szedł dalej, aż stanął na skraju nabrzeża, spojrzał na wodę migoczącą w promieniach słońca i dalej, na drugi brzeg, gdzie turyści lubiący zrywać się o świcie podziwiali Małą Syrenkę.

Pomyślał o dniu, w którym sam zobaczył ją po raz pierwszy. Przypomnił sobie, jakie ogarnęło go rozczarowanie, gdy się okazało, że jej rozmiary nawet w niewielkim stopniu nie odpowiadają jego wyobrażeniom. To samo odczuwał w tej chwili. Nic z tego, co zakładał i zaplanował sobie na ten poranek, nie poszło zgodnie z jego oczekiwaniami. Dosłownie nic. I niezależnie od tego, że na obecną chwilę mieli zaledwie strzępy informacji, sensacyjny news o śmierci Mogensa Klingego miał wkrótce wyciec do mediów, a wtedy rozpęta się piekło.

Przy jednym z trzech stanowisk przed monitorami siedział Fareed Cherukuri i pisał komendy na klawiaturze. Kiedy jeszcze pracował dla operatora TDC, poświęcał cały czas wolny od obowiązków na łamanie zabezpieczeń i podsłuchiwanie rozmów celebrytów. Miał poczucie, że bez tego zanudzi się na śmierć.

Miejsce obok zajmował jego kolega Qiang Who, drugi talent niedoceniony przez dział wsparcia klienta TDC, on z kolei uważnie wpatrywał się w ekran ukazujący żyrandol w sypialni Sleiznera.

Obaj pracowali dla Dunji za skromne wynagrodzenie, które jednakowoż pozwoliło im uciec od odpowiadania na pytania, dlaczego pozostawienie dziecka samego z telefonem na zagranicznych wakacjach kończy się tak wysokim rachunkiem.

– Nie rozumiem – oznajmił Qiang, nie odrywając wzroku od ekranu. – O której on się obudził?

– O piątej osiem, jeśli wierzyć aplikacji monitorującej sen, którą ma w telefonie. Czyli przed siedemnastoma minutami.

Z jednego z głośników doleciał odległy szum splotczki.

– I nie ma w planach lotu o jakiejś nieludzkiej porze albo czegoś podobnego? – spytała stojąca między nimi Dunja. Qiang cofnął nagranie, by obejrzeć je jeszcze raz.

– Nie, jeśli wierzyć jego kalendarzowi – odparł Fareed, przeklikując się przez menu na ekranie, wyglądające jak pulpity telefonu. Zatrzymał się na liście alarmów ustawionych na różne godziny. – Nie ma też budzika ustawionego na tak wczesną porę, tylko ten co zwykle, na wpół do siódmej.

– Nie dostał jakiegoś esemesa? – Qiang ziewnął i się przeciągnął. – A może ktoś do niego zadzwonił?

– Telefon jest wyciszony, a on jeszcze chwilę temu spał głębokim snem. Ale zaczekaj, sprawdzimy wiadomości. – Fareed zamilkł na moment i otworzył komunikator. – Nie, nic tu nie ma.

Na ekranie Qiang pojawił się Kim Sleizner, śpiący na plecach, z rozdziawionymi ustami, otoczony zmiętą pościelą.



– Wygląda na to, że ma za sobą nerwową noc. – Qiang pokazał palcem na skotłowaną kołdrę.

– Kolejną z rzędu – zauważyła Dunja. W następnej sekundzie Sleizner gwałtownie się przebudził i rozejrzał dokoła, jakby potrzebował chwili, by zrozumieć, gdzie się znajduje.

– Ale wygląda na to, że tym razem było o wiele gorzej. Może wreszcie dopadły go wyrzuty sumienia?

– Na serio w to wierzysz?

– Dlaczego nie? – Qiang wzruszył ramionami. – Nawet słoń prześląknęty złem może czasem...

– Błagam cię – przerwał mu Fareed. – Jest o wiele za wcześnie na twoje słoniowe porównania.

– Zawsze jest na nie za wcześnie... – mruknęła pod nosem Dunja.

– Chcecie wiedzieć, na co jest za wcześnie? – uniósł się Qiang. – Co? Mam wam powiedzieć?

– Nie, daruj sobie – odparł Fareed.

– Ustal lepiej, co się stało. – Dunja skinieniem głowy pokazała na ekran, na którym Sleizner obrócił się na bok i zniknął z pola widzenia.

Qiang pokręcił głową.

– To wygląda tak, jakby się domyślił, że włamaliśmy się mu do telefonu, i teraz się z nami bawi.

Dunja przytknęła palec do ust, pogłodziła dźwięk na jednym z głośników i po chwili rozległo się ciężkie westchnienie Sleiznera.

– *Fuck, fuck, fuck...*

– Tak nie brzmi ktoś, kto się bawi – powiedziała, odwracając się w stronę Fareeda. – Co o tym myślisz?

– Zgadza się. Nic z tego do niego nie pasuje.

Na ekranie Sleizner znów przewrócił się na bok, wracając w kadr, potem usiadł na skraju łóżka, powykreczał szyję tak, że chrupnęło mu w kręgosłupie, wreszcie wstał i zniknął.

– Wróć do realnego czasu – powiedziała Dunja do Qianga, a on zaznaczył coś, klikając w menu.

Obraz z żyrandolem się nie zmienił, ale teraz było słychać Sleiznera wracającego do sypialni.

– Bądź grzecznym chłopcem i zabierz telefon – zwrócił się do niego Qiang.

Zobaczyli jednak tylko cień poruszający się wzdłuż krawędzi łóżka. Zaraz potem on również zniknął z pola widzenia.

– No przecież mówię. Sukinsyn się z nami bawi.

– Wyśle mu wiadomość od TDC z informacją o nowych ustawieniach w jego profilu – oznajmił Fareed i zaczął stukać w klawiaturę.

– Przecież ma wyłączony dźwięk – zauważyła Dunja.

– Już nie. – Fareed pogłośnił do maksimum dźwięki powiadomień w telefonie Sleiznera i wysłał esemesa. W głośniku rozległ się przerywany pisk brzmiący jak alarm pożarowy.

W następnej chwili Sleizner pojawił się w kadrze, podniósł telefon i odczytał wiadomość. Jego zaspana twarz wypełniła cały ekran. Kiedy skończył, odłożył komórkę z powrotem na szafkę obok łóżka i zniknął.

Fareed westchnął i odwrócił się do Qianga.

– Co ty na to, żebyśmy przetestowali TC-piątkę i się upewnili, że nie zajmuje się właśnie czymś innym niż swoją poranną jogą?

– Dlaczego nie? – Qiang wzruszył ramionami. – Gorzej już chyba być nie może, jak rzekł pewien słoń, wsadzając trąbę do...

– Qiang – przerwała mu Dunja, uśmiechając się z przymusem. Qiang westchnął, odpałił następny komputer i podłączył do niego moduł z dwoma joystickami.

Na ekranie pojawił się niewyraźny obraz, rozrósł się szybko i zajął cały kadr. Było to coś szarego i rozmazanego, na górze przechodzącego w błękit. Dopiero po chwili, kiedy obraz zaczął się poruszać i obiektyw kamery złapał ostrość, dało się odgadnąć, że szara połać jest papą na dachu. Od góry dach przypominał kształtem znak nieskończoności okalający dwie szklane kopuły.

Przed budynkiem połyskiwała niebieskozielona woda, a na drugim brzegu wznosiły się biurowce o fasadach ze stali i szkła. Za nimi, nieco w oddali rysowała się dzielnica Vesterbro, a po prawej widniała złota wieża huśtawki w parku rozrywki Tivoli.

Manewrując joystickami, Qiang skierował oko kamery z powrotem na budynek, jednocześnie umieszczając je na wprost przypominającej miękką falę fasady, na wysokości ostatniego piętra, gdzie znajdo-

wały się wielki balkon i panoramiczne okna sięgające od podłogi aż po sufit.

W jednej z szyb na moment pojawiło się odbicie drona, ale gdy tylko Qiang skalibrował pozycję urządzenia i ostrość kamery, mogli zajrzeć prosto do urządzonego oszczędnie i ze smakiem salonu Sleiznera. Na środku stał duży zestaw wypoczynkowy złożony z kanap i foteli, obok znajdował się stół, na jednej ścianie wisiał ogromny telewizor, a na drugiej wielkich rozmiarów obraz przywodzący na myśl zabawy przedszkolaków z farbami. Nigdzie za to nie było widać Sleiznera.

– Wygląda na to, że się nie pomyliliśmy – stwierdził Fareed, podczas gdy Qiang ruszył dronem wzdłuż fasady. – Jak okiem sięgnąć żadnej jogi dla nudystów. Musiało się wydarzyć coś ważnego.

– To raczej niczego nie zmienia – odezwał się Qiang. – Ale mamy go, tutaj siedzi.

Okno w sąsiadującym z salonem gabinecie było zasłonięte cieniutkimi zasłonami, przez które niewiele dało się dostrzec, lecz mimo to nie było wątpliwości, że Sleizner ślęczy za biurkiem, przed komputerem.

– I z tego, co widzę... – podjął Qiang, ustawiając ostrość na ręce Sleiznera spoczywające w bezruchu na klawiaturze. – To nie jest spokojny poranny przegląd prasy.

– Może coś jest w wiadomościach – rzuciła Dunja, siadając przed jednym z komputerów. – Coś, co...

„Kurwa mać! – ryknął nagle Sleizner. – Kurwa, o ja pierdołę! – Dało się dostrzec, jak chowa twarz w dłoniach i kręci głową. – To niemożliwe. To po prostu, kurwa, nie może być prawda”.